TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 8. *Chicago, Ills., 20 Sierpnia, 1885 r.* Rok II.

TRZY MIESIĄCE.

ZE ZNALEZIONEGO RĘKOPISMU.

WYDAŁ

JOZEF NARZYMSKI.

(Dokończenie.)

Tu przerwał na chwilę, a potem mówił dalej:

— Nie dziw się, wszak to ledwie dwa łata minęło... Ale to pewna... względny spokój, z jakim w ostatnich dniach szedłem do katastrofy, zawdzięczam Maryi i naturze... Gdybym był w mieście został i nie kochał, byłbym umierał z przekleństwem na ustach i rozpaczą beznadziejną w duszy, albo... nie miał odwagi umrzeć...

Tu znowu zamilkł chwilę, a potem mówił:

— Może więc ta spowiedź moja, te dywagacye człowieka pasującego się z zagadkowym sfinksem, może one komuś, tak jak ja wychowanemu, tę, lub inną nastręczą myśl lub uwagę... Tylko, że nie na każdego Bóg taki łaskaw... nie każdemu pozwoli spotkać taką jak Marya kobietę...

— Czy wiesz — mówił z uczuciem — jam jej tylko, jej jedynie życie winien; Bóg widzi, żem szczerze zabić się myślał... wymierzyłem rewolwer dobrze... był odwiedziony i spust miał miękki... ale w chwili strzału spojrzałem raz ostatni w okno i dla tego może szybciej nacisnąłem cyngiel i o jednę czy dwie linie zgórowałem. A potem w czasie choroby!... Pomyśl... człowiek, który trzy miesiące żył w gorączce... cały system nerwowy rozstrojony, krew spalona... Cała sztuka poczciwego eskulapa i jego francuczczyzna nicby nie były pomogły... Ale jej obecność... to jasne, kochające, błagające jej spojrzenie uspokajało gorączkę, i przywracało mi przytomność... Gdy patrzała na mnie, usypiałem jak dziecko, śniąc żem nieżywy i że dwa nasze duchy błądzą gdzieś wśród błękitów... Doktor patrząc na to, ob-

serwował ze zdziwieniem Maryę i mruczał: „Tiens... tiens... vous êtes donc une sorcière...” (Patrzcie... patrzcie... pani jesteś więc czarownicą...) „Nie — szeptała po polsku, żebym ją dosłyszał — ale go kocham”.

Ale to nic jeszcze wobec siły tej kobiety... tak jednak powiewnej, tak delikatnej na pozór...

Ja z mego hotelu do owej altany — boć te szczegóły znasz z rękopismu — doszedłem wązką i trudną ścieżką... ale nieść mnie trzeba było bardzo ostrożnie i powoli drogą szeroką, idącą koło mieszkania Maryi... Latarnie, pochód kilku ludzi, komenda doktora, który ciągle przypominał ostrożność, są rzadkim wypadkiem u wód... Otwierały się okna... pytano co to?... Marya wyjrzała... zobaczyła leżącego na brankardzie człowieka... i straszne przeczucie ją objęło... Właśnie myślała o owem jutrze... Zbudziła służącą i posłała... Służąca, która mnie znała, opowiedziała jej wszystko... Załamała ręce i skamieniała... „Ale mówią, że jeszcze żyje” — dodała na szczęście dziewczyna. To słowo ocaliło ją i mnie... W pięć minut była przy mojem łożu... i tydzień blizko, dopóki napady gorączki nieustały a matka nie przybyła — nie odeszła na chwilę... nie usnęła na sekundę...

Gdy jej biedna Strusiowa przedstawiała, co ludzie o tem powiedzą, odpowiedziała krótko:

— Jeżeli umrze i ja umrę, jeżeli żyć będzie... będę jego żoną...

Powiedz, czy przy takiej kobiecie życie nie musi wrócić... życie prawdziwe... pełne zachwytów wewnętrznych i czynów szlachetnych?... Kobieta prawdziwie wyższa tworzy koło siebie pewną atmosferę wyłączną. Przyjedź do nas... Od czasu ślubu, od roku mieszkamy na wsi... moja tylko rana, a raczej potrzeba wzmocnienia płuc zmusiła mnie wyjechać... Marya z matką przybędą za parę dni i wracamy do siebie na resztę lata i zimę... W moich przynajmniej oczach Dębowo niepodobne do siebie... Połowa domów nowych już stoi... nie widać biedy, nie widać niechętnych twarzy... w urządzeniu domu, w doborze kwiatów, w chodzie sług nawet znać pewną wytworność, swobodę, pewną myśl rządzącą wszystkiem...

Mówił to z zapałem, a raczej z rozrzewnieniem... Byłbym go słuchał długo, bo nie ma piękniejszych portretów jak malowane przez zakochanych, ale zatrzymał się i innym już głosem rzekł:

— Ale dosyć tego... W oczach innego człowieka byłbym śmieszny z temi uwielbieniami dla własnej żony... Dziwna! że ludzie nie pojmują, jaka to rozkosz módz coś uwielbiać... Jeżeli więc chcesz, zrób z tego rękopismu użytek jaki uznasz za stósowny — dotąd czytały go Marya i Iza tylko a trzeci Alfred. Iza gniewała się na mnie, nazywała waryatem — Marya przyznała, żem powinien tak był zrobić... Nie chciałem go dać matce do przeczytania... Dotąd sądzi ona, że to był wypadek tylko... nieostrożność... Schowałem go zatem, a wyjeżdżając byłem tak szczęśliwy, żem o szpargale tym zapomniał...

Dla własnego jednak interesu dodać tu muszę pewne objaśnienie... I ty bowiem i inni powiedzieć byście mogli: „Wszystko to bardzo pięknie, ale pan dobrodziej nie czysto wyszedł z tej sprawy. Umowa była wyraźną... przyrzekłeś się zastrzelić, a tyś się tylko postrzelił. To nie wina Wirskiego, że dobrze strzelając do innych, do siebie chybiasz”.

— Ale któż — przerwałem — śmiałby...

— Przepraszam cię... każdy człowiek honoru... W tej kwestyi dwuznaczników nie ma... Muszę więc ci się usprawiedliwić i przekonać cię, że partyę moją do końca rozegrałem uczciwie i że jeżeli żyję, to żyć mam prawo... Jak tylko minęły dnie gorączki a potem prostracyi, jak tylko mózg zaczął pracować, i zaledwie zacząłem upajać się tem błogiem uczuciem, jakiego doznaje każdy rekonwalescent po ciężkiej chorobie, natychmiast stanął przedemną z całą jasnością ten pewnik, że ostatecznie to nie koniec sprawy... że Wirski mógłby mi zarzucić umyślne chybienie się, że więc całą operacyę trzeba powtórzyć da capo... Byłem jednak zanadto osłabiony jeszcze, żeby mnie to mogło wstrząsnąć zbytecznie, a tylko przewidywanie nowych cierpień wywołało pewien rodzaj smętnej melancholii...

Naturalnie, o tem co zaszło, nikt dotąd słówkiem nie wspomniał, a zresztą mnie wcale mówić nie było wolno... nie wiedziałem więc nic, czy matka, Marya i Iza wiedzą o powodach samobójstwa, czy czytały mój rękopism, czy Leon im co powiedział... We wszystkich oczach widziałem tylko miłość... a przecież te serca rozdarłem tak okropnie... To jednak

przekonanie, że ocalenie moje jest tylko chwilowem, że mi po raz drugi wypadnie przecierpieć pożegnania i tortury... męczyło mnie wewnętrznie i opóźniało wyleczenie...

W tym czasie przybył Alfred. Wtedy dopiero dowiedziałem się, że on był już w B... na trzeci dzień rano po wypadku, że zabawiwszy dni parę odjechał, a teraz znów wrócił. Serdecznie mu byłem wdzięczny za ten dowód przyjaźni, a prócz tego, obecność jego była mi bardzo na rękę. Oczywiście należało się przed Wirskim i jego świadkami wytłumaczyć z tego, że sobie żyć jeszcze pozwalam i zapytać go o nowy termin jaki naznaczyć zechce. Pisać nie mogłem, Leonowi zwierzyć się było trudno, bo byłby mógł wszystko przed kobietami wydać...

Na drugi dzień po przybyciu Alfreda widziałem, że między nim, Maryą, Izą i Leonem odbywały się jakieś konferencye tajemnicze, że wieczorem, gdy sądzono iż śpię już, opowiadał im szeroko historyę jakąś, przerywaną często wykrzykami oburzenia słuchających.

Na drugi dzień rano twarze otaczających osób zdawały się weselsze jeszcze... Gdy zawołano na śniadanie, Iza objęła ręką Maryę i całując ją w czoło rzekła:

— No, mój aniołku... ostatnia twoja obawa znikła!...

Sądziłem, że to się odnosi do konsylium, które się tego rana odbyło, kiwnąłem więc głową litośnie i szepnąłem:

— Biedne kobiety!...

— Dla czego biedne? — zapytał Alfred który został przy mnie.

— Ty przecie wiedzieć o tem powinieneś... Wszak rzecz nie skończona... Chybiłem się raz, tem gorzej dla mnie... nawet chciałem o tem z tobą pomówić... bo tamci gotowi pomyśleć...

— Sza! — przerwał Alfred — nie wolno ci mówić... a potem popatrzywszy na mnie zapytał:

— Więc ty seryo myślałeś o tem?...

— Alboż tu żartować można?...

— Biedaku!... a ja ci chciałem prawdę kryć jeszcze dłużej... bojąc się wzruszeń...

— Jaką prawdę?...

— Tylko spokojnie!... Opowiem ci wszystko... ale się nie irytuj!... Byliśmy osłami!... daliśmy się złapać jak fryce... Szczególniej ja!... Ah! do śmierci sobie nie daruję, żem ci uległ wtedy... Gdybyś był zginął, byłbym jego a potem siebie zabił!... Ale bo i któż takiego szatańskiego podstępu mógł się domyśleć...

— Ale co?... jak?... — zawołałem podnosząc się i zaciekawiony do najwyższego stopnia — nic nie rozumiem!...

— Prawda!... ale gdy pomyślę o tem... no... połóż się i słuchaj uważnie... z góry ci powiadam, że tylko dobre usłyszysz rzeczy...

Usłuchałem Alfreda i położyłem się. On mówił:

— Z powodów, które ci później opowiem, nie mogłem jechać do Dębowa. Byłem więc w Warszawie... co się ze mną działo dwunastego czerwca, nie będę ci opowiadał... Znałem cię... wiesz że cię kocham!... Wiedzieć, że ktoś nam drogi ginie i nie módz temu przeszkodzić... to okropnie!... A jednak widziałem, że rady nie ma!... czułem, że nie mogłem ci radzić to, czegobym sam nie zrobił... Przeklinałem moją słabość, wyrzucałem sobie jak zbrodnię, żem uległ twemu żądaniu...

— Mój Alfredzie — szepnąłem wyciągając rękę — bo ten człowiek zimny niby i już nie młody, na samo wspomnienie drżał widocznie...

— Oh! wierz mi!... kto wie, czy nie cierpiałem więcej od ciebie... Cóż, gdy nadszedł dzień ostatni!... Noc całą spędziłem bezsenną...

— Ja spałem, dzięki Maryi — wtrąciłem z dumą.

— Wiem.... wiem... dzięki jej!... Ale wracam do nocy... więc mniejsza!... Dość, że cierpiałem jak potępieniec, liczyłem godziny, i przysiągłem w duszy straszną nad Wirskim zemstę...

— Za co?... miał racyę...

— Ah!... miał racyę!... łotr!... — zawołał Alfred. — Ale nie przerywaj mi... czekaj końca... Otóż około dziesiątej rano słyszę dzwonek i lokaj przynosi mi kartę... Nazwisko jednego ze świadków Wirskiego... co to może być?... Zadrżałem cały przeczuciem szczęśliwego zwrotu... Otwieram drzwi, wprowadzam, poznaję go... Pamiętasz — ten siwy, milczący... Wszedłszy, zamyka drzwi i drżąc ze wzruszenia pyta się o twój adres. Powiadam mu, żeś wyjechał. Jęknął i padł na fotel rwąc sobie włosy z głowy... Wystaw sobie moją gorączkę... niecierpliwość... Nareszcie przyszedł

do siebie... Nie chcę ci opisywać szczegółowo rozmowy naszej... Treść jej była taka: Ten człowiek, szlachcic niegdyś zamożny, obarczony rodziną, powoli zrujnował się zupełnie... Wirski polubił go, lub może dla rachuby wziął go w opiekę... Ponabywał długi, ale nie wyrzucił go z majątku. Urządził go przecież tak, że każdego czasu mógł go, z ośmiorgiem dzieci i staruszką matką zostawić bez kawałka chleba... Zrobił zeń sobie niewolnika i używał jako parawan do rozmaitych szwindlów i spekulacyj. Szlachcic uczciwy ale słaby, gryzł się, męczył, ale jarzma nie miał odwagi zrzucić... W owej nocy — bo już dziś wiem wszystko — Wirski znalazłszy twoje bilety, posłał po niego i dał mu instrukcyę co do wyzwania i warunków. Szlachcic wróciwszy do domu, przeraził się odpowiedzialnością, a może i myślą, co się z nim stanie, jeżeli Wirski zły los wyciągnie... Nie śmiejąc jednak w oczy powiedzieć, co myślał, człowiekowi, który panował nad nim i wolą i położeniem, napisał błagalny list, zaklinający Wirskiego, żeby od zamiaru odstąpił, tłumaczący mu, że przecież sam może czarną gałkę wyciągnąć, odradzający zresztą całej awantury.

Wirski znać rozdraźniony, zapomniał się i następujący list mu napisał... posłuchaj...

I Alfred sięgnął do kieszeni i rozwinął papier... łatwo pojmujesz jak słuchałem...

„Kochany Auguście! Byłeś, jesteś i będziesz niedołęgą... Wiesz, że morałów nie znoszę, postanowień nie zmieniam — a obrazy nie przebaczam nigdy. Ten fircyk ubliżył mi... jak? to do ciebie nie należy. Umrzeć musi... Mógłbym go za parę tysięcy rubli kazać zagałuszyć, ale nie lubię spraw takich. W pojedynku mógłby mnie zabić lub ranić, zamiast ja jego. Sposób, jaki wymyśliłem, jest najpewniejszy. W każdym zaś razie nic nie ryzykuję. Czyż ty stary ośle myślisz, że gdybym ja wyciągnął zły los, zastrzeliłbym się?... Ja?... Wirski?... Dla tego przecież trzy miesiące naznaczyłem... Wyjechałbym na lat parę za granicę, a zresztą od czego pieniądze... Jeżeli więc mi się nie uda, nic nie stracę, a o tym błaźnie pomyślę inaczej... Nie nudź mnie więc i rób jak kazałem, albo jutro będziesz żebrał. Znasz mnie".

Kiedy Alfred list ten czytał, siadłem na łóżku i z otwartemi ustami, z wytrzeszczonemi oczyma słuchałem... Wszystkiego prędzej spodziewać się mogłem... ale nigdy, przenigdy myśl podobnej podłości nie błysnęła mi w głowie...

— To niepodobna! — zawołałem.

— A jednak tak jest!...

— A zbójca!... — krzyknąłem, pomyślawszy com wycierpiał i co stracić mogłem w tak haniebny sposób!... — Ah! nie daruję mu...

— Ależ uspokój się! — zawołał przerażony mojem rozdraźnieniem Alfred — uspokój... Nie zaraz jednak dało się to zrobić... Pojmujesz .. być tak haniebnie oszukanym, stać się igraszką takiej intrygi, to okropność...

Nareszcie byłem w stanie wysłuchać reszty opowiadania, które ci tu w skróceniu powtórzę. Szlachcic jak zwykle ustąpił z obawy nędzy, ale gdy mnie zobaczył, gdy mu potem pokazano matkę moją, wyrzuty sumienia dręczyć go zaczęły. Powoli przyszedł do przekonania, że jest wspólnikiem prostego morderstwa... Próbował Wirskiego skłonić do jakichś ustępstw i zdawało mu się, że potrafi to zrobić... Przekonał się jednak w końcu, że to była komedya... Wirski chciał tylko list swój od niego wycofać i łudził go do końca... Szlachcic jednak raz w życiu spryt pokazał i zaprzysiągł się, że list ten zniszczył. Nareszcie sumienie zwyciężyło, zapóźno niestety!... Sądził, że jestem w Warszawie, że w ostatniej chwili będzie dość czasu, zwlekał, bo odkrycie było zarazem dla niego początkiem nędzy... Dopiero 11 czerwca zdobył się na odwagę i zaczął mnie szukać... Powiedziano mu, żem wyjechał... wtedy udał się do Alfreda...

Kiedy się rozmowa skończyła, była godzina dwunasta. Alfred był pewien, że jestem w Dębowie, zatelegrafował więc natychmiast i sam kuryerskiemi końmi ruszył... Z Warszawy do Dębowa mil blizko 12... a któż nie zna naszych poczt kochanych... Oś pękła i ledwo o 9 tej stanął w Dębowie... Telegram nadszedł na drugi dzień zaledwie, bo do stacyi mil trzy...

— Wystaw sobie moją rozpacz — mówił w tem miejscu Alfred — gdym się dowiedział, żeś wyjechał... A tu godzina dwunasta, stacya telegraficzna w powiatowem miasteczku o mil trzy i w nocy zamknięta... Nie byłem w stanie ukryć pomięszania mego... Zresztą chciałem zrobić co się da. Ostrzegłszy więc Leona i siostrę twoją, żeby matkę na wielki cios przygotowali... nie tracąc chwili, popędziłem...

Wszystko to jednak było zapóźno... Alfred przybył na trzeci dzień po katastrofie, wysławszy Bóg wie ile telegramów, które bióro z niemiecką akuratnością składało ad acta...

Alfred zastał mnie po operacyi z prawdopodobieństwem ocalenia, a przy łóżku mojem nieodstępną Maryę i poczciwą panią Strusiową... On także pierwszy znalazł i przeczytał moje bazgraniny...

— Widziałem więc — dodał z uśmiechem — żem ci niepotrzebny. Zresztą matka twoja i siostra były na drodze... wiedziałem, że i Leon z niemi się zjawi... a ja tam miałem rachunek do załatwienia...

— Jakto?... z Wirskim?... Miałżebyś się bić z tym łotrem?...

— Ja?... ah!... gdzież znowu!... alem go zabił... dwa razy... a raczej trzy...

— Jakto?...

— Najprzód zwołałem sąd honorowy... a wyrok jego z podpisami najzacniejszych ludzi rozszedł się w tysiącach egzemplarzy...

— To okropnie dla niego... taka pycha!...

— Puściłem w twojem imieniu Sosnowską Wolę staremu, którego Wirski sprzedał i stradował... Puściłem ją prawie za darmo...

— O! dziękuję ci... dziękuję!...

— Powiadali, że Wirski szalał z wściekłości... Nareszcie... pani Julia wyjechała od męża, jest u mojej ciotki, a sprawę rozwodową prowadzi mój adwokat... i... przeprowadzi... choćbym cały majątek w to rzucił. Wiesz jak on ją kochał szalenie... No cóż?... kontent jesteś?...

— Oh! mój najdroższy!... Więc ja naprawdę żyć mogę?...

W tej chwili weszły Marya i matka, za niemi Iza i Leon...

Ja siedziałem na łóżku... pierwszy raz, rozpromieniony, szczęśliwy, czujący całą duszą życie. Zapomniałem o ranie, o Wirskim, o wszystkiem... wiedziałem tylko, że żyję, że żyć mogę wśród ukochanych istot...

— Karolu! co ty robisz?... — wołała matka. Doktór nakazał spokój!... Proszę!... połóż się...

I stanąwszy przy mnie białą dłoń swą położyła na mem czole... Przy niej stała Marya i patrzyła mi się w oczy...

Wtedy ja wyciągnąłem po raz pierwszy drżącą rękę... wziąłem rączkę Maryi i przyciskając ją do ust, rzekłem:

— Przebaczcie mi... najdroższe... przebaczcie... Dziś wszystko się skończyło... życie moje tylko dla was...

Uczułem gorący uścisk białej dłoni, a w tej chwili Marya rzuciła się w objęcia mej matki...

— Mówiłam przecież, że się to wszystko ślubem skończy... zabrzmiał srebrny i wesoły głos Izy...

(Koniec.)

BAŚNIE.

POTĘPIONA KSIĘZNICZKA W ZAMKU GNIEŹNIEŃSKIM

(Dokończenie.)

W takich okolicznościach mało się Antoni troszczył o ludzi, jedna tylko Basia, córka kramarza bogatego, nie była mu obojętną. Rodzice dali jej jaknajlepsze wychowanie, a jako jedynaczka bardzo była majętną. Lubo on zaledwo śmiał z nią rozmawiać, Basia była dla niego zawsze bardzo uprzejmą i grzeczną, gdyż jej się bardzo podobało ciche i skromne ułożenie Antoniego. Przytem łączyła ich jeszcze w dziecińczęsto uczyniona obietnica, iż się będą wspierali i nie opuszczą się w nieszczęściu. Jak chętnie byłby Antoni widział Basię ubogą, ażeby ją był mógł wspierać, jednakże myśli takie uważał za występek.

Przypadek zdarzył, iż się mogli widywać często, gdyż rozsądek i uczciwość Antoniego spowodowała ojca Basi, iż go przyjął do swego handlu, ponieważ on sam bardzo był chorowity. Teraz dopiero młodzi ludzie poznali dobrze swą wartość

i polubili się tem bardziej. Basi zdawały się pięć plam na twarzy Antoniego wcale nieszpecącemi, wiedziała bowiem, iż je otrzymał w owej fatalnej przygodzie z księżniczką. Pomagała mu też wszelkiemi sposobami, by drugą procesyą przyprowadzić do skutku, i wymógł to wreszcie na swym spowiedniku.

Gromnice rzucały jasne promienia, uroczyście brzmiały pobożne pienia zgromadzonych chrześcian, dążących ku zwaliskom starożytnego zamku. Atoli posępne milczenie panowało, gdy wolnym krokiem wstępowali w podziemne sklepienia. Serce Antoniego biło radośnie, bo tą razą nic nie było zapomnianem. Wszyscy oczekiwali ze drzeniem wielkich, nigdy niewidzianych zjawisk. Zwolna traciły świece blask jasny, trzeba je było objaśnić, bo się coraz ciemniej robiło w podziemnych sklepieniach. Lecz niestety! brakowało szczypcy!...

Westchnienia księżniczki wskroś przyjęło całą pobożną drużynę, a śmiech szatański rozległ się wśród gruzów. Ognista łuna objęła wszystkich i niejeden skaleczył nogę lub rękę, chcąc jaknajprędzej ujść z mocy szatana. Antoni i Basia zmartwili się niewymownie, że się znów procesya nie udała.

Walenty szydził jak mógł z dawnego przyjaciela, a spotkawszy się z nim na ulicy nie pozdrowił go nawet. Opowiadał publicznie, że Antoni trzyma z djabłem, i że pięć plam na jego twarzy są oznakami jego piekielnego przyjaciela. Przez to nowe nieszczęście i przez złośliwe oszczerstwa Walentego, byli zabobonni sąsiedzi umocnieni w swem podejrzeniu. Oprócz tych przykrości większa jeszcze niedola spotkała biednego Antoniego. Ojciec umarł mu, a jeszcze nie był odłożył żałoby, kiedy pożar zniszczył cały jego dobytek. Z kłopotem odbudował znowu swój domek, lecz długi, które przytem zaciągnąć musiał, gnębiły go jeszcze bardziej. Całą jego nadzieją była Basia, spodziewał się bowiem, iż ona nikomu prócz jemu ręki nie odda; a w tym razie byłby z wszystkiego wybawiony kłopotu.

Walenty już był dawno odziedziczył gościniec po rodzicach, atoli złe gospodarstwo i bezrząd zrujnowały znacznie jego dobytek, przedsięwziął więc dopomódz sobie bogatem ożenieniem. Basia była nietylko najmilszą, ale i najbogatszą dziewczyną w całem mieście, przeto zaczął się starać o jej rękę. Rodzicom Basi były odwiedziny Walentego nader miłemi, ponieważ życzyli sobie dawno nabyć dom jego, a w ten sposób spodziewali się spędzić tam ostatek dni swoich, obok szczęśliwie zamężnej córki. Antoni zląkł się nie mało, dowiedziawszy się o tem; nie dowierzał jednakże, znając uczucia Basi. By uprzedzić Walentego, ośmielił się prosić o nią rodziców, lecz ci odprawili go zimno, mówiąc, iż nigdy nie daliby swej córki za człowieka, o którym ludzie tak źle mówią, i któryby ani wyżywić jej nie mógł.

Antoni nie życzył sobie nigdy wielkich bogactw, wiedząc, iż one rzadko uszczęśliwiają człowieka, dziś atoli zapragnął ich gorąco, i chętnie byłby poszedł do podziemnych sklepień poprosić księżniczkę o trochę złota z jej łodzi. Rozmyślając nad tem jednakże przekonał się, że i bogactwo na nic by mu się nie zdało, gdyż mu najbardziej cecha djabelska szkodziła. Rozpłakał się gorzko i tylko w nadziei w sprawiedliwość Bozką znalazł niejaką pociechę, bo był przekonany, że cierpienia niezasłużone nie pozostaną bez nagrody.

Walenty starał się ciągle o Basię. Ona nie chciała z początku ani słuchać o tem, bo znała go dobrze, iż był nielitościwym dla ubogich, samolubnym i fałszywym dla współbraci, atoli miłość dziecinna i posłuszeństwo przemogły nad uczuciami serca, i Basia została zaręczoną Walentemu.

Antoni żył teraz jeszcze samotniej niż dawniej. Mogiły rodziców i zwaliska królewskiego zamku były jedynemi miejscami, które zwiedzał.

Długo usiłował daremnie przyprowadzić do skutku trzecią i ostatnią procesyą, jednakże nie stracił odwagi i nie spoczął, dopóki nie spełniło się jego życzenie. Tą razą pamiętano o wszystkiem. W pobożnem skupieniu ducha szła mała wprawdzie drużyna ku zwaliskom. Antoni przejrzał był wszystko kilkakrotnie i dodał gdzie na czem zbywało.

Po kilku modlitwach i prośbach o wybawienie potępionej księżniczki, usłyszeli w oddaleniu szum wielki, który stawał się coraz głośniejszym. Strumień wody popłynął obok idących z procesyą, nieprzeszkadzając w biegu nikomu. Łódź napełniona złotem płynęła na wodzie przed oczami zdumionych widzów. Wszyscy stanęli jak wryci, gdyż blask złota zrobił na niejednym niezmiernie miłe wrażenie. Jedno tylko serce pozostało spokojnem — a to było serce Antoniego.

Jego nie mogło już złoto uszczęśliwić. Basia była zaręczoną innemu, a bez niej nic w świecie nie miało wartości dla niego. Potem słychać było

jakieś tajemnicze mruczenie. Antoni szedł w procesyi na samym ostatku; gdy wychodził, wręczyła mu jakaś tajemnicza ręka śliczny łańcuch z medalionem, na którym wyryte były te słowa: „Podarek ślubny; wierzaj, miłuj, miej nadzieję. Twoja pobożność odbierze zasłużonę nagrodę".

„Więc to podarek ślubny dla Basi!" rzekł sam do siebie. Radość i boleść ściskały na przemian serce jego.

Następnej niedzieli poszedł Antoni jak zwykle do kościoła i usłyszał zapowiedź Basi z Walentym. Wszystkich parafianów oczy zwróciły się na niego, on zbladł, ale udawał spokojnego. Nastąpiła druga i trzecia niedzieła. Antoni pocieszał się jak mógł i polecił Bogu Basię i Walentego.

Na wesele zaproszono go także, na usilne prośby Basi, bo rodzice sprzeciwiali się temu z początku. Na życzenie narzeczonej podjął się Walenty zaprosić dawnego przyjaciela.

Antoni siedział zamyślony w swojej izdebce, gdy Walenty przybył do niego. Powitał grzecznie młodego pana, lecz zaprosiny odrzucił. Mówili o potocznych rzeczach, gdy nagle okno otworzyło się pędem wiatru, i mały kawałek papieru wpadł do izdebki. Antoni nie zważał wcale na to, ale Walenty podniósł go ciekawie. Był on biały i przezroczysty jak szkło a na nim był napis złotemi literami: „W czwartek, gdy zegar kościelny wybije dwunastą, idź na zwaliska, przyłóż rękę do owej rozpadliny, gdzie niegdyś wśród dziecinnych zabaw wpadła ci piłka a odbierzesz zapłatę, na którą zasłużyłeś". Walenty namyślał się chwilę, czy ma oddać papier przyjacielowi dawnemu, ale przezwyciężył się i rzekł z szyderczym uśmiechem:

„Otóż jakieś tajemnicze obietnice".

Antoni przeczytał i rzekł obojętnie: „Najpiękniejsza zapłata jest zawsze ta, którą się po spełnieniu dobrego czynu czuje w sercu, atoli i ziemskiemi dobrami gardzić nie trzeba, jeżeli nam one tak samochcąc przychodzą".

Nakoniec nadszedł dzień ślubu, a był to ten sam dzień, w którym Antoni odebrać miał przyobiecaną zapłatę. W sercu Walentego staczała się gwałtowna walka zazdrości, chciwości i niepokoju. Antoni cieszył się, że mógł oddać Basi tak piękny podarunek ślubny. Panna młoda wzbraniała się z początku przyjąć dar tak kosztowny, i niepojmowała zkąd go wziął Antoni, lecz narzeczony radził jej, by go przyjęła, lubo domyślał się dobrze od kogo pochodził.

Wesoła muzyka brzmiała w domu Basi, goście ochoczo się bawili, a Walenty radował się bardzo, choć go czasem niespokojności przechodziły. Antoni siedział w domu i nie mógł w żaden sposób przytłumić gwałtownych uczuć boleści, które na dźwięk muzyki i weselnej wrzawy sercem jego miotały.

Nadszedł wieczór. Stroskany młodzieniec siedział samotnie w swojej izdebce i przysłuchiwał się rozlegającej się w oddaleniu muzyce weselnej. W tem głośny brzęk dwunastej godziny dał znać, że czas udać się na zwaliska starego zamku. Odział się więc w ciepły płaszcz i poszedł. Gdy się zbliżał do ruiny, ujrzał już z dala gromadę ludzi, którzy latarniami i lampkami oświecali nocne ciemności. Podwoił kroku, nie wróżąc sobie nic dobrego. Krzyk boleści Basi i jej rodziców, dały mu do zrozumienia co zaszło. Walenty leżał nieżywy na ziemi. Niespokojność i ciekawość zapędziły go przed północą na zwaliska zamku, chciał bowiem być świadkiem nagrody Antoniego, a gdy ten nieprzychodził, włożył sam rękę w naznaczone rozpadliny, spodziewając się, iż odbierze zapłatę przeznaczoną przyjacielowi lat dziecinnych. Basia zdziwiona jego nieobecnością, poszła za nim i znalazła go nieżywego, konwulsyjnie skurczonego, a twarz jego pokrytą czarnemi plamami, podobnemi plamom na twarzy Antoniego, Basia pobiegła z płaczem do domu i wszyscy goście weselni pobiegli za nią na ruiny.

„O nieszczęsny!" zawołał Antoni, „znam ja przyczynę twej śmierci; cóżbym dał za to, gdybyś mógł wrócić do życia".

Otaczający go goście spojrzeli na niego z niedowierzaniem, czy te słowa z serca pochodzą, lecz nikt nie mógł wątpić o tem, bo na jego twarzy szczery żal się malował.

Od tej chwili uważali go wszyscy w mieście za pierwszą lecz wybawioną, Walentego zaś za drugą nieszczęśliwą ofiarę czarta. Antoni pocieszał podług możności nieszczęśliwą Basię, atoli nie odważył się nigdy wspomnieć o przeszłości. Rodzice jej bardzo go teraz polubili i żałowali, iż się dawniej tak źle z nim obeszli. Gdyby nie wstyd, byliby mu Basię sami ofiarowali w zamęście.

Czas żałoby minął, Antoni i Basia ponowili swe przyrzeczenia. Rodzice pobłogosławili ich i wkrótce stanęła młoda para ochoczo przy ołtarzu. Gdy klęczeli, składając przysięgę wiecznej wierności, obca jakaś dama przystąpiła do nich i pogłaskała Antoniego po twarzy. Szybko zniknęła

wśród tłumu, ale na twarzy Antoniego zgladzone były czarne plamy. Ta pani nie była kto inny, jak wybawiona księżniczka.

Ślub odbył się skromnie, bez tańców i wrzawy. Podobny był prawie dniu żałobnemu, gdyż śmierć nagła Walentego tkwiła jeszcze świeżo w pamięci wszystkich mieszkańców miasta.

Nazajutrz opowiedziała Basia swemu mężowi dziwaczny sen. Sniło jej się, że przyszła do niej wybawiona księżniczka i dała jej wielką skrzynkę złota. Antoni zdziwił się nie mało, bo i jemu ukazała się ona we śnie, a napominając go, ażeby przyjął z wdzięcznością szczęście, jakie mu Opatrzność w Basi zgotowała, rzekła: „Pogardziłeś mem podziękowaniem, przeto nic ci dać nie mogę, atoli żona twoja dostanie odemnie przyzwoity podarek ślubny".

Sen jest zwykle skutkiem dziennych myśli i życzeń, dzisiaj atoli stał się rzeczywistością, by uszczęśliwić młodą parę i podać im środki do rozmaitych dobrych czynów, gdyż w kącie jednym ich izdebki ujrzeli dużą skrzynkę, napełnioną złotem i różnemi kosztownościami.

Młodzi małżonkowie nie zdumnieli na te bogactwa, lecz użyli na wspierania biednych i budowanie kościołów. Żyli bogobojnie i skromnie podług przykazania Bożego, dziękując mu codziennie za łaski, które zlał na nich.

Rodzice Basi błogosławili chwilę, w której jej córka złączoną została z Antonim. On bowiem szanował każdego, a przedewszystkiem rodziców swej żony, bo serce jego wykształcone było w miłości chrześciańskiej bliźniego. Obok tak dobrych dzieci przeżyli sędziwi rodzice szczęśliwie ostatek dni swoich, a ich błogosławieństwo towarzyszyło Antoniemu i Basi do ich późnej starości.

JASKINIA POTEPIEŃCA

POWIEŚĆ

— PRZEZ —

FR. XAW. TUCZYNSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Wieczorem zawołał Cześnikiewicz Marcina.

— Pójdziesz ze mną teraz do ogrodu, — rzekł, — i pokażesz mi miejsce, co to... wiesz które!..

Marcin zrozumiał.

— Dobrze! — odpowiedział.

Wyszli natychmiast ze zamku niepostrzeżenie i Marcin zaprowadził Cześnikiewicza do altany bluszczowej.

— Tu jest — odrzekł — owa altana, a tu ta ława, a z tego klombu cygan wyszedł. Którędy odszedł, nie wiem, bom się bał, aby mnie kto nie spostrzegł, dla tego za nim iść nie mogłem; a tu w tyle ja stałem.

Cześnikiewicz w milczeniu pilnie przepatrywał klomby, miejsca bardziej ukryte i wszystkie tajemne zaułki. Nikogo tam nie było, czego się też Cześnikiewicz spodziewał, gdyż nie przypuszczał, aby cygan w ogrodzie noce przepędzał, a z dworskich nikt o tym czasie w tej stronie ogrodu znajdować się nie mógł.

Chodziło mu najwięcej o to, aby się dowiedzieć, którędy cygan wszedł do ogrodu. Bramą koło zamku niepostrzeżenie wnijść nie mógł, aniby się na to nie odważył. Musiał tedy znać jakieś tajemne wejście, lub po prostu przeleźć przez mur zamkowy.

Niedaleko od altany natrafił Cześnikiewicz na ukrytą fórtkę w murze, całkiem zarosłą krzewami. Spiesznie przystąpił do niej, uderzył

nogą i... natychmiast się otworzyła, a otworem miał widok na pole. Przez fosę była położona belka, po której wygodnie przejść było można i dostać się do ogrodu. Aha! pomyślał sobie, tędy ptaszek wchodzi do klatki! Dobrze! będę potrafił z tego korzystać.

Kontent ze spostrzeżeń, wrócił z Marcinem do swego pokoju.

— Marcinie! — rzekł, — ani mi piśniesz o tem, żeśmy byli w ogrodzie, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Dobrze, rachuję na ciebie. Masz tym czasem dziesięć dukatów, — mówił dalej Cześnikiewicz, — a jeżeli wykonasz to, co ci jeszcze powiem, dostaniesz drugie tyle; rozumiesz?

— Rozumiem! — odrzekł Marcin i sięgnął po dukaty.

Teraz Cześnikiewicz objawił Marcinowi cały swój zamiar, powiedział wszystko co ma czynić i jak ma czynić. Marcin w nadziei dostania jeszcze dziesięciu dukatów i ujrzenia skandalu, słuchał bardzo pilnie, aby i jednego nie zgubić słówka. Na każde zapytanie Cześnikiewicza: rozumiesz? odpowiadał regularnie: rozumiem. Cześnikiewicz nie zataił mu najdrobniejszego szczegółu tyczącego się jego zamiaru. W końcu uradował się bardzo, gdyż odgadł, że Marcin będzie poczytywał sobie za wielki zaszczyt, jeżeli się ze zadania swego sprawnie wywiąże.

Gdy skończył opowiadanie swego planu, zapytał jeszcze raz Marcina:

— A co, zrozumiałeś dokładnie swoją powinność?

— Zrozumiałem! — odpowiedział Marcin.

— Czujesz się na siłach, że wykonasz co do joty dane ci zlecenie?

— Czuję Wpanie!

— To dobrze, możesz odejść.

Gdy Marcin wyszedł, Cześnikiewicz przeszedł się parę razy po pokoju. Potem stanął jakby mu coś innego na myśl przyszło.

— A gdyby też to wszystko było tylko zmyślenie Marcina?... Gdyby mnie tylko chciano na franta wystawić?... Gdyby Marcina sama panna Celina do takiej komedyi namówiła?... — rzekł sam do siebie. — Ale to niepodobna! Marcin zanadto wierny, aby mi mógł coś podobnego zataić. Nie, niepodobna, nie... sto razy nie... Niech tak będzie, jak urządziłem.

Po tych słowach założywszy w tył ręce, zaczął się znowu przechodzić po pokoju. Twarz jego chmurna, kwaśna, zaczęła się coraz wyjaśniać i do uśmiechu układać, aż naraz głośnym wybuchnął śmiechem.

— Ha! ha! ha! — śmiał się, — wpadniesz i ty kruku i ty sroczko w moje sidełka, że się z nich nie wyplątacie. Sprawię ci sroczko niespodziankę, o jakiej nie marzyłaś! Ha! panie Stolniku, gdzież się podziało twe przekonanie, że córka pamiętna na mitry w herbie, nie odda serca osobie jej nierównej, że nie splami honoru swego rodu?... A to mi przekonanie! No! będziesz teraz innego przekonania!... Ale dobrze i tak! Niech mnie teraz poproszą, abym przyjął rękę Celiny... Hm!... czyżbym jej rękę odrzucił? Nie... Ona, jak ona, ale klucz Turaj nie żarty... a ten Paryż, — dodał ciszej zwieszając głowę — dał się strasznie we znaki moim finansom... No! odczekajmy końca!

Tak mówiąc do siebie, udał się na spoczynek, aby jutro wstać rychlej, gdyż trzeba wiedzieć, że Cześnikiewicz przyjąwszy strój cudzoziemski, przyjął zarazem zwyczaje arystokracyi paryzkiej sypiania do południa.

Stolnik tymczasem wydał stósowne rozkazy na jutrzejszy dzień i cały zamek poszedł na spoczynek w nadziei ujrzenia jutro wspaniałego a zarazem ciekawego widowiska, to jest rozwalenia jaskini potępieńca.

Dnia następnego około godziny dziesiątej z rana orszak z rozmaitemi górniczemi narzędziami posuwał się zwolna ku jaskini potępieńca. Już tam było mnóstwo zgromadzonego ludu. Wieść, że osławione miejsce, siedlisko duchów, ma być zburzonem, rozeszła się po całej okolicy i sprowadziła ze wszech stron mnóstwo ciekawych.

Tu i tam pomiędzy zgromadzonymi dały się słyszeć żarciki, a mianowicie jakiś głos tubalny.

— O! dalipan! ręczę, że zobaczymy biesa, bo dalipan ujść nie mógł, nie wiedząc, że mu rezydencyą nad głową rozwalają. Dalipan!

— A słowo!... panie Plisza, proszę nie żartować! — zawołał jakiś głos lękliwy. — Waszmości dobrze kpić, kiedy nas tyle, ale gdybyś tu był sam, dałbyś drapaka, ażby się kurzyło!

— Ho! ho! panie Marucki, — odrzekł pan

Plisza, — dałbyś ty chyba drapaka, ale nie ja, com...

Tu urwał, bo od groty dał się słyszeć szelest. Pochodził on od uderzania młotów.

Tak żartowano z biesa, któremu rezydencyą miano zburzyć; ale ten i ów szeptał modlitwy, a nawet niejeden ukradkiem się przeżegnał.

Pomimo to jednak przystąpiono do dzieła. Stolnik sam kierował robotą.

W grocie zapalono pochodnie. Przy otworze w głębi groty kazał Stolnik wywiercić trzy dziury i nabić je prochem.

Łatwo i prędko się to wymówi: wywiercić trzy dziury, ale nie tak prędko da się to zrobić. Skała twarda z trudnością ustępowała pod uderzeniami młotów, dla tego południe nadeszło, a robota jeszcze nie była skończona.

Cześnikiewicz był bardzo niespokojny; co moment zaglądał na zegarek, aż około południa to bladł, to się czerwienił. Wreszcie zbliżył się do Stolnika.

— Mości panie Stolniku! — rzekł zmienionym głosem, — mam coś bardzo ważnego do powiedzenia. Na wiele się odważam, — dodał — ale jako przyjaciel domu, nawet z uszczerbkiem przyjaźni pana Dobrodzieja, którą się dotąd zaszczycam, muszę wyjawić tajemnicę, która jak kamień cięży mi na sercu.

Stolnik zdziwiony ponurą miną Cześnikiewicza, zaśmiał się, przypisując ją obawie w bliskości jaskini potępieńca. Rzekł tedy wesoło:

— Waszmość panie Cześnikiewiczu, nie potrzebujesz biesa się obawiać; jest nas tu wielu, dalibyśmy mu radę, gdyby mu chętka przyszła powadzić się z nami.

— O! nie! — odpowiedział Cześnikiewicz tym samym głosem, co pierwej, — nie to moja tajemnica.

— Cóż tedy? — zapytał Stolnik.

— Proszę pana Dobrodzieja na bok, a opowiem wszystko, — rzekł tajemniczo.

— A czemuż nie tu?

— Nie można, bo to idzie o honor... pana Stolnika.

— O mój honor? a to jak?

— Powiem, tylko ustąpmy na bok.

Stolnik zaciekawiony poszedł z Cześnikiewiczem na drugą stronę góry. Tam nie było nikogo, bo wszystko, co żyło, przypatrywało się robocie w jaskini.

Cześnikiewicz obejrzał się na wszystkie strony.

— Jesteśmy sami, — rzekł Stolnik, — możesz waszmość mówić. O cóż więc chodzi?

— O cygana chodzi, — odpowiedział Cześnikiewicz. — Pan Stolnik Dobrodziej zaraz się przekona, że antypatya moja do tego złoczyńcy miała słuszne powody.

— Tyle tylko chciałeś mi waćpan powiedzieć? — rzekł Stolnik z uśmiechem, — i dla tego wyprowadziłeś mnie aż dotąd? Myślałem że coś ważnego będzie, a waść stare dzieje na świat wydobywasz.

— Racz mnie tylko posłuchać, mości panie Stolniku, — mówił dalej Cześnikiewicz. — Rzecz, którą mam powiedzieć nie jest ani małej wagi, ani też stara, owszem jedyna w swym rodzaju. Póki tylko Polska Polską, póki świat światem, tego jeszcze pewnie nikt nie słyszał.

— I cóż takiego? — rzekł Stolnik niecierpliwie, — przystąp waść nareszcie do rzeczy!

— Ów cygan przeklęty zagraża honorowi domu pana Stolnika.

— A to jak? cóż on?

— Boję się powiedzieć! — szepnął Cześnikiewicz zaambarasowany.

— Kiedyś zaczął, dokończ! — wyrzekł stanowczo Stolnik.

Cześnikiewicz jeszcze raz obejrzał się na około, a potem zbliżył się o krok do Stolnika i rzekł:

— Panna Celina kocha się w cyganie!!

Stolnik odskoczył od Cześnikiewicza, jak od zarażonego lub szalonego, ale wnet gniew zawrzał mu w piersi. Prawą ręką ujął rękojeść karabeli i krzyknął piorunującym głosem:

— Natychmiast waść odwołaj, coś powiedział, albo cię na kapustę posiekam!

Cześnikiewicz założył ręce na krzyż na piersi i stał nieruchomy, spokojny.

— Panie Stolniku Dobrodzieju! — odezwał się uroczyście, — nie przekonałeś się nigdy, abym jego samego, lub jego antenatów poniżał, ani nigdy przez myśl mi nie przyszło obrażać pana Stolnika, lub żartować sobie z niego. Dla tego co mówię, świętą jest prawdą i udowodnić to mogę.

— Udowodnić? proszę natychmiast! — krzyknął Stolnik. — Zaklinam na Boga żywego, daj mi waść dowód, bo jak mi Bóg miłym, żywym tu ztąd nie wyjdziesz!

Stolnik strasznie w tej chwili wyglądał. Twarz jego nie była czerwoną ale siną; czapka zwyczajnie na uchu, teraz opadła na tył głowy, a szabla na pół wydobyta z pochwy błyszczała i migotała w promieniach słońca. Był teraz podobnym do ranionego tygrysa, który tylko co ma skoczyć na swego przeciwnika, aby go jednem ściśnieniem paszczy zdusić na miazgę.

Cześnikiewicz nie zląkł się wcale. Stał spokojnie ze skrzyżowanemi rękoma na piersiach i śmiało patrzał Stolnikowi w oczy. Tej sceny spodziewał się, dla tego był na nią przygotowany.

— Myślę, — rzekł, — że będzie najlepszym dowodem, jeśli pan Stolnik Dobrodziej sam się naocznie przekona. W tej chwili oczekuje panna Celina cygana w altanie bluszczowej pomiędzy świerkowemi klombami.

— Na koń! — krzyknął Stolnik, — jedź waszeć ze mną... a jeśli nieprawda, wtenczas biada ci!

W momencie siedli na konie i cwałem popędzili ku zamkowi. W drodze nie przemówili ani słówka, dopiero gdy się zbliżali do bramy, rzekł Cześnikiewicz:

— Nie tędy, tylko furtą.

Stolnik nic nie odpowiedział, tylko zwrócił konia za Cześnikiewiczem. Przybyli do kłody leżącej na fosie. Furta była uchylona, a na murze powiewała chustka.

— Ptaszek jest w gniazdku, — rzekł Cześnikiewicz z tryumfem, — oto znak moich ludzi! — dodał wskazując na chustkę.

Stolnik spojrzał pogardliwie na niego.

— To waść już służbie nawet komunikowałeś splamienie mego honoru?

Cześnikiewicz nic nie odpowiedział: uczuł, że Stolnik ma racyą, że może tem być bardzo obrażonym. Do rozmowy jednak nie przyszło, bo nie było czasu.

Puścili więc konie na wolność, a sami po cichu przeszli kłodę i weszli furtką do zamkowego ogrodu.

Przed godziną wyznaczoną cyganowi siedziała panna Celina w swoim pokoju i dumała nad swem położeniem. Ktoby dzisiaj szukał na jej twarzy rumieńca, nie dostrzegłby ani śladu: była biała, jak najbielszy marmur. Oczy zaszłe mgłą, na pół powieką zamrużone, nie okazywały wiele życia, a ręka pozbawiona wszystkiej krwi była bielszą od alabastru.

Piękną była w tej chwili! Nie była to owa piękność czarująca ognistem spojrzeniem, lub harmonijnym dźwiękiem głosu, do której serce się wyrywa, na której widok tętna mocniej biją, ale owa piękność, przed którą zgina się w pokorze kolano, jako istotą niebiańską, a dusza napełnia się uczuciem czci i uwielbienia.

Celina podparła głowę ręką i w duszy rozmawiała ze sobą. Czasem tylko cichy szept wychodził z jej ust, a najwięcej same tylko usta się poruszały.

— Pójdę, aby go zobaczyć, pożegnać... — szeptała prawie niesłyszalnie, pójdę!... Ale nie powinnam... grzeszę tem przeciw sobie i przeciw niemu. Nie!... nie pójdę!... nie powinnam... Dziś jeszcze poproszę rodziców, aby mnie oddali do klasztoru — zamknę się na wieki, zamknę się w murach zakonnych, a może Bóg zechce w mej piersi zagasić ten ogień, który mnie piecze i pali; może modlitwa ustawiczna wybije z mej głowy obraz, który mnie wszędzie ściga... Nie! nie pójdę!...

Chwila milczenia — potem mówiła dalej:

— Ale czyż mogę bez pożegnania się z nim? czyż mam tyle siły, aby to uczynić?... Jednak nie pójdę!... (po chwili) A on będzie czekał... potem pójdzie... zapomni!... (z mocą) O nie!... on nie zapomni, on życiem gotów przypłacić! Pójdę więc, ale to raz ostatni... pożegnamy się na... wieki!

W tem uderzyła południowa godzina. Celina strzęsła się jak we febrze.

— Ctóż bije godzina... on tam już pewnie dawno czeka, a ja tu jeszcze jestem!... Niewdzięczna!... on cię tak kocha, on życie za ciebie dać gotów, a ty nie chcesz go pożegnać?... (z rezygnacyą) O! pójdę... idę!...

To mówiąc powstała i opuściła komnatę. Wiadomemi szpalerami doszła do altany i tam usiadła na ławie.

Cygan już od rana siedział na miejscu, w klombie świerkowym. Jego myśli wszystkie skupiły się w jedno ognisko; wszystkie chęci, życzenia, marzenia zbiły się około jednego przedmiotu... około Celiny. Widział ją przed sobą, czuł jeszcze jej miękką rękę od wczoraj, widział jej łzy — ach! jak mu ciężko na sercu!... Zadumał się, głowę ukrył w dłonie i tak nieru-

chomy przepędził czas cały. Zamyślenie jego było tak głębokie, że nawet nie słyszał kręcących się ludzi — cały świat pierzchnął z przed jego oczu — on tylko żył w tej chwili myślą o Celinie.

W tem na wieży zamkowej uderzyła dwunasta. Niby strumień elektryczny, tak dźwięk śpiżowy wstrząsł jego ciałem. Opuścił dłonie, spojrzał — ukląkł i złożył ręce, jak do modlitwy, bo Celina postępowała ku altanie.

Weszła do altany, usiadła na ławie, a on jeszcze klęczał, nie śmiejąc ani tchu wydać, nie śmiejąc się poruszyć. Nareszcie zerwał się, pobiegł do altany i upadł na kolana.

Celina w głos zapłakała.

— Nieszczęśliwy przyjacielu mój! — wyjękła nareszcie wśród łkania, — namyśliłeś się ty do czego to wszystko prowadzi?

— O tak! moja droga pani, wiem do czego... ach! wiem!

— Do czegóż tedy?

— Do śmierci!... — odpowiedział ponuro.

— Tak jest, do śmierci, — przywtórzyła Celina, — ta tylko twoje i moje bóle ukrócić może. Och! ja sama nie mam siły, aby się wyrwać z tej toni, w jaką moje serce mnie wepchnęło.

Cygan jeszcze wciąż klęczał.

— Powstań, przyjacielu mój! — mówiła dalej Celina, — powstań, nie godzi się tobie klęczyć przedemną. Tu powinieneś być koło tego serca, które tylko dla ciebie by żyło... ale to nie możebnem.

To mówiąc ujęła go za rękę i posadziła obok siebie.

— Oto jeszcze ślady krwi dla mnie przelanej na tej nędznej odzieży, która twoje tak szlachetne serce pokrywa... Ja nie patrzę na twą odzież, tylko na duszę, którą przez oczy twe widzę dokładnie. Tam wyczytuję wszystko, cokolwiek myślisz, czytam, że mnie kochasz!... Chciałbyś to może powiedzieć, ale nie umiesz uczucia twego ubrać w słowa, bo cię tego nie uczono, dla tego też nie kochasz mnie słowami, językiem, ale sercem i duszą.

— O moja najdroższa pani! — zawołał cygan boleśnie, — tak! ja czuję tu w sercu, żeś dla mnie jest wszystkiem, żeś w mej pamięci, w mojej duszy zawsze, każdego momentu. Ja się modlę do ciebie! Gdy patrzę na ciebie, to mnie taka bojaźń przejmuje, jakbym patrzał na anioła!... Ach! tyś dla mnie aniołem!...

Cygan zamilkł, ale oko załzawione zwrócił na Celinę.

Stolnikówna rzekła po chwili:

— Proste twoje słowa, ale dają mi poznać, jak wielce mnie kochasz, dają poznać, jak nieszczęśliwym jesteś — a to ja temu winnam! Ale i ty zapaliłeś w mem sercu ogień, którego skutki sam na sobie czujesz.

Cygan znowu ukląkł, schwycił ją za rękę, której mu nie broniła i obsypał ją pocałunkami.

Kilka chwil trwało milczenie. Cygan prawą rękę Celiny trzymał przy ustach, a Celina lewą ręką zakryła oczy. Wreszcie opuściła rękę i zapytała:

— Powiedz mi, mój przyjacielu, teraz przy ostatniem widzeniu się naszem, czyś jest istotnie cyganem?

Zadrżał młodzieniec i głowę opuścił na jej rękę.

— Moja najdroższa pani, — zawołał wśród łez drżącym głosem, — odepchnij mnie od siebie zabij mnie u stóp twoich — śmierć z twej ręki zadana, byłaby dla mnie największą rozkoszą. Odepchnij mnie od siebie, bom nie godzien na ciebie patrzeć, bom człowiek wzgardzony, odrzucony... tak, ja jestem cyganem!

Ostatnie słowa wymówił z wielkiem wysileniem.

— Nic to nie znaczy, — odpowiedziała łagodnie Celina, — żadnej zmiany uczucie moje dla ciebie nie dozna, ale tem bardziej trzeba nam się rozłączyć, — dodała. — Ponieśmy to uczucie do grobu, uczucie, które tylko Bóg w serce nasze wlać musiał. Idź więc teraz!

To mówiąc zdjęła z palca pierścień, a podając go cyganowi, mówiła dalej:

— Masz oto ten pierścień na pamiątkę. Wiele razy nań wejrzysz, wspomnij, że w klasztorze będzie się znajdowała istota, która cię kochała więcej, jak majątki, jak stan świetny.

— Nie zobaczę cię już nigdy? moja najdroższa pani? — wyjęknął cygan rozpaczliwie.

— Nigdy!... — odpowiedziała Celina płacząc. — Idź teraz, czas nam się rozłączyć... nim dłużej będziemy pozostawali ze sobą, tem pożegnanie będzie dla nas trudniejszem. Idź więc! — dodała z wysileniem.

— Pójdę więc, pójdę! — zawołał cygan całując jej rękę, — o! pójdę, aby... umrzeć...

W tej chwili jakiś szelest i nagle głos piorunujący dał się słyszeć:

— Pójdziesz gałganie, aby umrzeć na szubienicy!!

— Mój ojciec! — zawołała Celina i osunęła się na ławę.

— Stolnik! — szepnął cygan.

Rzeczywiście Stolnik z Cześnikiewiczem stali u wejścia do altany. Straszna to była chwila. — Stolnik wyglądał jak zwierz wściekły — piana z ust mu się toczyła, rękoma chwytał w powietrzu, jak człowiek konający, a oczyma przewracał, jakby popadł w najstraszliwsze konwulsye.

Cześnikiewicz blady, ze zaciśniętemi zębami, wyrwał szpadę z pochwy i rzucił się na cygana stojącego obok Stolnikównej nieruchomie, aby go uderzyć.

— Łajdaku! — krzyknął, — zabiję cię, porąbię w sztuki!

Ale w tym momencie zerwała się Celina i stanęła pomiędzy cyganem a Cześnikiewiczem.

— Stój pan, ani się waż ruszyć! — zawołała mocnym głosem. — Zapewne jak szpieg podsłuchiwałeś i słyszałeś moje zwierzenia, zatem szanuj moje uczucia, albo zabij mnie z nim razem!

Cześnikiewicz zdumiony odskoczył na bok. Stolnik tymczasem odzyskał przytomność.

— Córko wyrodna! — zakrzyknął, — na tóż cię wychowałem, abyś dzisiaj ojca twego, okrytego siwizną, splamiła i zhańbiła przed całym światem?!

— Ojcze! ach ojcze! — wyjękła rozpaczliwie Celina, — daruj, ja za to nie mogę. Co Bóg zrządził, nie mogę za to odpowiadać. Ojcze kochany! zabij mnie, ale puść go wolno.

To mówiąc objęła ojca za nogi, całując je, ale ten odepchnął ją krzyknąwszy:

— Precz odemnie!

Cygan tymczasem ani się nie ruszył. Stał blady, ale dumny, nieruchomy, patrząc pogardliwie na Cześnikiewicza, który jeszcze dobytą szpadę trzymał w ręku.

— Hej służba! — krzyknął Stolnik, — związać łotra cygana, dać mu sto batów, a potem na gałąź z nim!!

Na te słowa jakby ze ziemi wyrośli, sypnęli się słudzy. Z za krzaków, z za drzew zlatywało ich się coraz więcej. W momencie schwytano cygana i wyprowadzono z altany.

— Ha! panie cyganie! — wołał jeden wśród śmiechu, — przyszliśmy ci drużbować!

— Zarazem zaręczyny odbędą się z batogiem!

— A potem ślub na gałęzi!

— A wesele w piekle!

Tak pusta hołota służalców naśmiewała się z nieszczęśliwego; ale ten wyższy nad wszystkie rzucane pociski, ani nie jęknął, ani słówka nie wymówił, tylko stał ze zaciętemi zębami. Ktoby wtenczas mógł spojrzeć na niego bez uprzedzenia, byłby mimowoli musiał podziwiać w nim prawdziwego bohatera.

Ale zebrani ani nie dostrzegli tego, ani też nie chcieli dostrzedz, owszem pastwili się nad nim targając za włosy, poszturując pod brodę, lub kułakując.

— Baty mu, — krzyknął znowu Stolnik, — a potem na gałąź!

Na te słowa schwyciło go kilku i rzuciło o ziemię.

W tej chwili oko jego padło na klęczącą dotychczas Stolnikównę u nóg ojca. Zobaczyła go i Celina, oko jej spotkało się z jego okiem... ach! było ono takie same jak wtedy...

Zakrzyknęła, bo właśnie w tej chwili regularny stuk batoga spadającego na cygana wyrwał ją z odrętwienia. Powstała do góry. Już to nie była owa wiotka, dziecinna Celina, ale kobieta czująca siebie kobietą. Przyskoczyła bliżej do ojca.

— Ojcze! — zakrzyknęła, — słuchałeś zapewne, więc wiesz, czem ten człowiek dla mnie. Puść go wolno, bo na Boga żywego, zobaczysz mnie natychmiast trupem!

To mówiąc wydobyła z zanadrza ostry, błyszczący sztylecik, rozdarła gorset i wymierzyła zabójczem narzędziem w białą nagą pierś.

Stolnik struchlał.

— Ojcze! na żywego Boga ja raz ostatni cię zaklinam! — wykrzyknęła Celina głosem stanowczym.

Stolnik, w którym uczucie ojcowskie wzięło górę nad wściekłym gniewem, zawołał spiesznie:

— Puścić go, niech idzie wolno!

Służba odskoczyła na bok na słowa Stolnika, a cygan zerwał się ze ziemi i stanął na równe nogi. Nie wiedząc co się z nim dzieje, powiódł błędnem okiem na około. Jeszcze przed chwilą usłyszał wyrok śmierci — nie zląkł się go wcale; teraz słyszy wyrok życia — zląkł się,

bo nie mógł uwierzyć, aby to mogło być prawdą. Widzi ze zdumieniem nie daleko od siebie Celinę z podniesionym sztyletem, z nagą piersią, a Stolnika z wybladłą twarzą. Nie słyszał on. ani nie wiedział, co się przed chwilą stało, dla tego, mając i tak do najwyższej potęgi rozstrojoną duszę, nie mógł tej całej sceny zrozumieć.

Dopiero powtórny głos Stolnika wyrwał go z letargu.

— Ruszaj teraz cyganie!.. — krzyknął Stolnik.

— Jeśli się jeszcze raz tu pokażesz, będziesz wisiał na gałęzi! — dodał z własnego popędu Cześnikiewicz, który wolałby był widzieć cygana na szubienicy, aniżeli na wolności.

Ale cygan stał i ani się nie ruszył.

— Słyszałeś? — zawołał znów Stolnik, — czy mam kazać cię psami wyszczuć?..

Na te słowa doskoczyła Celina, ujęła cygana za rękę i dociągnęła za sobą, mówiąc:

— Pójdź nieszczęśliwy, przyjacielu. Idź teraz, a pamiętaj, że w tłumie tych wrzeszczących i naigrawających się z ciebie ludzi masz jeszcze przyjaciółkę dozgonną we mnie!

Trzymając cygana za rękę, poprowadziła go do furty i otworzyła ją.

— Już cię nie zobaczę więcej?.. — wyjęknął cygan ze łzami.

— Nie! i ja ciebie nie zobaczę!.. — odrzekła Celina tym sam głosem.

— Dokąd się udajesz, moja miłościwa pani?

— Do klasztoru... zaraz... natychmiast!..

Cygan zgiął kolano.

— Bądź więc szczęśliwą! — wyrzekł głosem ponurym.

— A dokąd ty się udajesz, przyjacielu? — zapytała Celina.

— Wiesz!.. — odpowiedział cygan takim głosem, że wzruszył Celinę do głębi serca, — pójdę, aby... umrzeć! Bądź zdrowa na wieki! — dodał, schwycił Celinę konwulsyjnie za rękę ucałował, skropił łzami, a potem puściwszy ją, lotem ptaka pobiegł przez pola.

— Stój! nieszczęsny! co chcesz czynić!.. — zawołała za nim rozpaczliwie Celina, ale cygan nie słyszał, a może i słyszał, ale się nie obejrzał, a za chwilę znikł już po za krzakami cierniowemi, rosnącemi na polu.

— O! Boże!.. — zakrzyknęła pozostała Stolnikówna z rozpaczą.

Były to jej ostatnie wyrazy, bo się osunęła i padła omdlała przy furcie.

Wszystko to, do czego potrzeba było tylu wyrazów, stało się w jednym prawie momencie. Stolnik stał jeszcze na tem samem miejscu, Cześnikiewicz miał jeszcze dobytą szpadę, a jeden ze sług trzymał jeszcze podniesiony batog do wymierzenia razu.

Nagle usłyszano po za sobą głos niewieści:

— Cóż się to dzieje?.. na Boga, cóż się dzieje?

Obejrzano się... Stolnikowa!

Stolnikowa wzróciła pytająco oczy na męża. Stolnik nie rzekł ani słowa, tylko ręką wskazał na leżącą na ziemi Celinę.

— Moja córka!... cóż to? nie żyje?!... — zawołała z płaczem Stolnikowa, wyście ją zabili! Ojcze okrutny, coś uczynił!

— Splamiła honor domu! odrzekł Stolnik ponuro.

Stolnikowa tego wcale nie słyszała, bo z głośnym płaczem rzuciła się na leżącą na ziemi córkę.

Stolnik z Cześnikiewiczem odwrócili się i nic nie rzekłszy, udali się ku zamkowi.

Tymczasem panny zamkowe posłyszawszy w ogrodzie niezwykły hałas, pobiegły czemprędzej w tę stronę. Gdy dobiegły do miejsca katastrofy i zobaczyły Stolnikową klęczącą nad ciałem Celiny, struchlały. Wnet się jednak opamiętały i zaniosły na zamek tak omdlałą Celinę, jako też i jej matkę, która również więcej podobną była do umarłej, aniżeli do żywej istoty.

Celina skropiona wodą została wnet przywołaną do życia. Otworzyła oczy, powiodła niemi naokoło siebie, a gdy matkę przed sobą ujrzała, zapytała się ze łzami:

— O! matko kochana! czyż i ty mnie odepchniesz?

— Uspokój się, moje dziecko, uspokój się, — odpowiedziała, — pomówimy później!

Ale u Celiny o uspokojeniu się mowy być nie mogło; za wiele przeżyła dzisiaj, za wiele wrażeń uderzyło w jej duszę i za wiele ciosów odebrało jej serce, aby się mogła uspokoić. Usiadła więc na sofie i gorzko płakać zaczęła. Stolnikowa z urywanych słów służby domyślała się, że tu jakaś miłosna intryga zaszła z cyganem, nie sądziła jednak, aby Celina w niej grała

jaką rolę, wnosiła więc, że tylko przez nieporozumienie została wplątaną. Postanowiła zaraz się o tem przekonać.

W tym celu oddaliła przytomnych i pozostała sama z córką. Długo patrzały na siebie milcząc, aż wreszcie Stolnikowa zapytała:

— Celino! cóż się stało?

— O! matko, matko najdroższa! — odpowiedziała zapytana z płaczem, — jam temu niewinna. Opierałam się, jak mogłam, ale...

— Więc to jednak prawda, żeś serce twe oddała cyganowi? — zawołała zimno Stolnikowa i powstała.

Celina rzuciła się matce do nóg.

— Matko! matko! czyż i ty mnie potępiasz?!... — wyjękła głosem rozdzierającym.

Chwila nastała uroczysta. Stolnikowa stanęła wyprostowana, spoglądając dumnie z góry na córkę. Już tylko co miała wyraz oburzenia i potępienia wymówić, już nogą drgnęła, aby córkę od siebie odepchnąć, ale w tym momencie opanowało ją jakieś nigdy niedoznawane uczucie. Łzy puściły jej się z oczu, schyliła się, podniosła córkę ze ziemi, przycisnęła do piersi i drżącym wyrzekła głosem:

— Córko! nie potępiam cię... jam temu winna. bom cię nie wyrwała, gdyś już jeden krok zrobiła w przepaść. Ja, matka, powinnam lepsze dać baczenie na twoje serce, które dla mnie zawsze stało otworem. Ale ja, krótkowidząca, brałam twą najwyższą sympatyę dla niego za uczucie wdzięczności dla twego wybawcy, a nawet sama rozżarzałam to twoje uczucie. Pójdź córko w objęcia twej matki, która ci przebacza i połowę winy sama na siebie bierze!

Z głośnym płaczem rzuciła się Celina matce na szyję; trzymając się w objęciach stały długo, długo. nieruchomie, niemo, tylko cichy płacz matki i szlochanie córki przerywało ciszę.

— Cóż teraz? — zapytała Stolnikowa, gdy się wreszcie cokolwiek uspokoiły.

— Do klasztoru! matko! — odpowiedziała Celina, — do klasztoru, zaraz — natychmiast!

Stolnikowa w głos zapłakała.

— Więc cię mam utracić, córko moja? pociecho mego życia?... A jednak widzę, — dodała po chwili, że inaczej być nie może.

— O! nie, nie może! dla mnie pozostaje tylko wybór pomiędzy śmiercią a klasztorem.

— Nie wzbraniam ci, — odrzekła Stolnikowa, — nie wzbraniam ci, chociaż połowę życia dałabym, aby to co się stało, mogło się jeszcze odstać. Niech się więc dzieje wola Boga!

To rzekłszy przycisnęła córkę do swego serca i macierzyński pocałunek złożyła na jej czole.

Stolnik z Cześnikiewiczem opuścili ogród w milczeniu i poszli do zamku. Wszedłszy do komnaty, stanęli każdy przy innem oknie i. niby pilnie przypatrywali się okolicy, a w samej rzeczy zatopili się w rozmyślaniach. Obydwaj myśleli o dopiero co zaszłym wypadku, ale każdy zupełnie z innej strony nań się zapatrywał. Starajmy się poznać ich myśli.

Stolnik, jako ojciec wyrodnej córki, czuł się do głębi duszy wzruszonym. Gdyby był mógł, byłby płakał, nie nad córką, broń Boże, ale nad sobą samym, z gniewu i wściekłości. Hańba wyrządzona imieniowi Turajskich nigdy zmazaną już być nie może. Palcami wytykać go będą, czy to na sejmikach, czy to na kontraktach; czy to w towarzystwach wesołych, czy też w kościele, zawsze będą wszyscy nań patrzeli, jako na ojca córki zakochanej w cyganie!... Gdyby można krwią zmazać tę plamę, byłby się na wszystko naraził, byłby amanta swej córki wyzwał na ostre i albo przeciwnika posłał djabłu na ofiarę, albo sam ległby w obronie swego honoru. Ale cóż? bić się z cyganem?... Tego jeszcze świat nie słyszał... Ale możeby jeszcze się udało zachować przed światem tajemnicę?... I to nie, nie idzie — już służba wie o wszystkiem, a za godzinę będą o milę drogi wiedzieli. Kto sprowadził służbę? Cześnikiewicz!

Tu Stolnik spojrzał z ukosa na towarzysza i dojrzał w jego twarzy coś nakształt uśmiechu... zadrżał. Serce jego zakrwawiło się na samo wspomnienie, że Cześnikiewicz mając teraz honor jego w ręku, będzie się starał z tego korzystać, a może nawet będzie chciał go upokorzyć! O! wtedy biada mu! — Tu Stolnik zaciął pięści i oparł czoło o szybę.

Cześnikiewicz z drugiej strony praktyczniej rzecz tę uważał. Kalkulacya jego była następująca. Prawda, że Celina go nie kocha, ale tu nie chodzi tyle o jej miłość jak o jej... majątek. Byłby w każdym razie, a przynajmniej po przyrzeczeniu Stolnika, uzyskał i słowo Stolnikównej, ale ojciec byłby go w uposażeniu córki bardzo ograniczył. Dzisiaj po tych zaj-

ściach łaskę jeszcze Stolnikowi zrobi, jeżeli córkę jego pojmie za żonę; on teraz sam intercyzę podyktuje...

Może być, że Stolnik odgadł myśl Cześnikiewicza, rzekł ironicznie:

— Waćpan wielką mi oddałeś przysługę!

— Byłto mój obowiązek, — odpowiedział z nizkim ukłonem Cześnikiewicz, niezrozumiawszy, co Stolnik chciał przez to wyrazić.

— Tak?... jednakże przysługa waści warta stósownej nagrody, — rzekł na to Stolnik z przyciskiem.

— Nie żądam za to żadnej nagrody, odpowiedział Cześnikiewicz, — przyjaźń Wpana Stolnika Dobrodzieja jest dla mnie najwyższą nagrodą.

— Ha! przyjaźń — przyjazń... przysługa waści zmalała przez to, że hańbę moją odkryłeś wszystkim sługom, nawet prędzej, aniżeli mnie samemu.

— Panie Stolniku Dobrodzieju, — odrzekł na to czerwieniąc się Cześnikiewicz, — sądzę, że jeśli się kto zhańbił, to chyba panna Celina; pomimo to, ja pana Dobrodzieja proszę o jej rękę.

W tej chwili Stolnikowi strzeliła myśl przez głowę, że Cześnikiewiczowi nie chodzi o rękę Celiny, ale o Turaj. Ubodło to go strasznie, ale się jeszcze pohamował.

— Waszeć słyszałeś, że ona kocha owego przeklętego cygana, że teraz pójdzie do klasztoru, że... no! i jeszcze chcesz waćpan ją za żonę, kiedy ona serca do niego nie ma? Sądzisz, że po tem, co zaszło odda ci swą rękę?

Cześnikiewicz się uśmiechnął.

— Jeżeli kiedy, to teraz nie będzie robiła trudności, — rzekł. — Dzisiaj będzie to dla niej pociechą i chętnie zezwoli, gdyż inaczej wywikłać się nie może.

— Tak sądzisz? — krzyknął Stolnik i postąpił parę kroków do Cześnikiewicza, jakby go chciał pochwycić, ale się umitygował. — Ha! zaraz zobaczymy, — dodał, — zaraz się przekonamy o charakterze Stolnikównej Turajskiej!

— Panie Dobrodzieju, sądzę...

— Nie sądź! — krzyknął Stolnik w pasyi, — zaraz się przekonasz!

To mówiąc doskoczył do dzwonka i tak silnie targnął, że pas natychmiast się urwał.

Lokaj wpadł do komnaty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PODANIA LUDOWE O RÓŻNYCH ZWIERZĘTACH.

W podaniach ludowych figurują zwierzęta, a większa część tych fantastycznych legend, odnosi się do czasów przedchrześciańskich. W każdym narodzie napotykano pełno śmiesznych przesądów; tak np. wierzą, że mysz, gdy zje świecę w kościele, zamienia się w nietoperza. Bardzo śmieszny jest zabobon prostego ludu, że mniemane czarownice mają przy sobie czarnego kocura. Lud przesądny używa w wielu okolicach jako lekarstwa psiego sadła i pomiotu wybielałego na słocie. Zabobonni ludzie złe wróżby wyprowadzają z tego, gdy im zając drogę przebiegnie. Kubkom do picia z rogu nosorożca wyrabianym, przypisywano dawniej moc niszczenia skutków zadawanej trucizny. Sybiracy mówią, że gdy krowa przez całą noc ryczy, będzie wielkie nieszczęście. Flamandczycy, którzy swą zabobonnością odznaczają się pomiędzy innemi narodami, wierzą np. że pianie koguta odstrasza złego ducha. Ztąd okrutny zwyczaj: pieką go żywcem nad ogniem, a im więcej krzyczy, tem bardziej są zadowoleni, że środek będzie skuteczny. Wierzą dalej, że chrząstka z wnętrza ucha świńskiego pomaga w bólu zębów; że wycie psa, krzyk sowy itp. są to wszystko przepowiednie nieszczęścia. Wszystko to baśnie niedorzeczne, których wystrzegać się winniśmy.

Idźmy dalej, przysłuchajmy się licznym przesądom, jakie w wielu okolicach panują, by poznać ich niedorzeczność i w nią nie popadać. W Bruchnalu koło Jaworowa chłopi całują żabkę rzekotkę, aby się im nie padały usta. W Szczereu koło Lwowa w brzuch ją całują, aby się ich nie czepiła zimnica. W Skowiatynie w Czortkowskiem dziewki gotują rzekotkę, wyjmują z niej wnętrzności i włosy niemi smarują, aby im urosły długie. W Złoczowie jest przesąd, że gdyby wąż zaskroniec kogo ukąsił (aczkolwiek wcale nie kąsa), ukąszony winien co tchu biedz ku wodzie, aby rychlej przybiegł niż wąż, wówczas bowiem ukąszenie to nic nie będzie szkodziło. W Sanoku mówią, że kto węża w domu zabije, musi paść u niego bydlę. W Kukizowie w Żółkiewskiem nawet śmiercią straszą za zabicie węża. W Bolechowie w Stryjskiem wyliną węża myją się dziewki, aby im włosy lepiej rosły. Padalca obawia się lud nasz, jak żmii i nie przepuszcza mu nigdzie, gdziekolwiek go tylko napotka, zabijając go kijem, który się potem odrzuca, a w braku kija nawet chlebem; w rękę boi się go brać, gdyż za jego dotknięciem ma się skóra na ręce łuszczyć, padać, lub nawet być od niego przewierconą; prześliźnięcie się jego po oczach śpiącego ma sprawiać ślepotę, padalec bowiem, według mniemania ludowego jest także bez ócz. W Kołomyjskiem uroili sobie strzelcy, iż padalcem nabita strzelba wyprawia się, zkąd też jego tameczna nazwa „ładun.”